

Anna R. Burzyńska: *Powtórne przyjście*, „Tygodnik Powszechny” 2007 nr 51–52, z 23–30 grudnia, s. 43.

Jeżeli nie wierzysz w to, w co jesteś zaangażowany, to nie znaczy, że w środku tego jest pustka. Twoja wiara nie wnika w to, o co walczysz, ponieważ jest całkowicie zajęta gdzie indziej. Jest może najgłębszym osobistym pytaniem, czym jest to «gdzie indziej» – tak Peter Brook tłumaczył przed laty Andrzejowi Bonarskiemu istotę swojego teatru. Słowa te wydają się idealnie tłumaczyć fenomen ostatnich spektakli Brooka – ascetycznych, zadziwiająco chłodnych, w których aktorstwo oparte jest na epickim dystansie. Trudno powiedzieć, czy to jeszcze teatr, czy też – wciąż żywa na kontynencie afrykańskim, z którego pochodzi spora część zespołu Théâtre des Bouffes du Nord – sztuka opowiadania historii. Dostyc dokładnie da się za to zakreślić obszar „gdzie indziej”, który obecnie penetrują artyści – są to zagadnienia religii. Brook analizuje warianty historii obecnej w wierzeniach różnych narodów: klęski poniesionej przez „najświętszego z świętych” – boga, proroka, mędrca.

Trylogię rozważań o świętości i jej odrzuceniu przez ludzi otworzył spektakl *Śmierć Kriszny* (2002), pomyślany jako epilog do arcydzieła Brooka – inscenizacji *Mahabharaty*. Rozgrywany w pustej, wypełnionej jedynie kilkoma rekwizytami (mata, lampy, figurka boga Ganeszy) przestrzeni, 80-minutowy monolog w wykonaniu Maurice’a Bénichou oparty był na ostatniej księdze indyjskiego eposu. W księdze tej Kriszna zdaje sobie sprawę, że przegrał, gdyż nie udało mu się powstrzymać wojennej hekatombi i przywrócić pokoju. Nie jest już w stanie zwalczyć rozszalonego zła dobrem – decyduje się więc umrzeć.

Kolejna (bardziej widowiskowa, bo zatrudniająca sporą grupę aktorów i muzyków) inscenizacja, *Tierno Bokar* (2004), opowiadała o losach słynnego z mądrości, skromności i dobroci mistrza sufickiego, który pragnął uczyć innych odnajdywania szczęścia w miłości do Boga i innych ludzi – niezależnie od ich wyznania i koloru skóry. Absurdalny spór, który wybuchł pomiędzy fanatycznymi przedstawicielami różnych odłamów islamu, doprowadza jednak do tego, że Bokar zostaje odrzucony przez współwyznawców i dokonuje żywota w biedzie, głodzie i całkowitym osamotnieniu.

Trylogię zamyka prezentowane niedawno we Wrocławiu przedstawienie *Wielki Inkwizytor* (20004), oparte na kluczowym dla interpretacji powieści rozdziale *Braci Karamazow*, w którym Iwan snuje opowieść o powtórny przyjsciu Chrystusa, pojawiającego się w Sewilli epoki kontrreformacji i czyniącego cuda, które nie podobają się władzom Kościoła. Inkwizytor każe pojmać Zbawiciela i w oskarżycielskiej mowie ukazuje mu bezskuteczność, a wręcz szkodliwość jego wysiłków, mających na celu danie ludziom wolności, godności, szczęścia i zbawienia. Snuje

wizję świata stworzonego na nowo, bez Boga, jakby sprzed poznania owoców dobrego i złego, w którym to świecie ludzie sprowadzeni zostali do bezrefleksyjnej, ubezwłasnowolnionej, ale szczęśliwej i żyjącej w poczuciu bezpieczeństwa trzódki.

Przedstawienie rozgrywa się w typowej dla późnej twórczości Brooka intymnej przestrzeni – niewielka widownia, na scenie kwadratowa mata i dwa stolki – w której pojawiają się dwie osoby: Wielki Inkwizytor (w wersji angielskojęzycznej: Bruce Myers, we francuskojęzycznej: Maurice Bénichou) i On – Chrystus (Joachim Zuber). Chrystus jest młody, ma delikatną, otwartą twarz. Bosy, w ciemnej tunice, siada na stolku bokiem do publiczności i spokojnie, w skupieniu, wsłuchuje się w mowę Inkwizytora.

Inkwizytor stanowi przeciwieństwo dziecięco czystego Chrystusa. Od pierwszej chwili jasne jest, że oto będziemy mieć do czynienia z arcyaktorem, cynicznym graczem, wybornym demagogiem, który opanował i po wielokroć przećwiczył wszystkie figury retoryczne, i znakomicie potrafi sterować emocjami i myślami swoich słuchaczy. Mistrzowsko panuje nad głosem (trudno nie ulec pięknu królewskiej angielszczyzny Myersa), mimiką (twarz starego komedianta: to nieruchoma jak oblicze pokerzysty, to znów ruchliwa i plastyczna, wyrażająca emocje z przesadną emfazą), gestem (powściągliwym, ale czasami – gdy trzeba dodać wagi słowom – ekspresyjnym, pozornie niekontrolowanym) i ograniczonym przez maleńką przestrzeń ruchem. To on prowadził będzie, niczym w pokazowym procesie albo publicznej debacie, wykład na temat istoty ludzkiej wolności, dobra i zła, dziejów ludzkości i Kościoła.

Inkwizytor tylko pozornie kieruje swoją przemową do Zbawiciela; najważniejsza jest publiczność. To ona ma podziwiać jego przewagę i ostatecznie przyznać racje jego argumentom. A jednak potulny więzień jest silniejszy. Milczenie i pokora okazują się najskuteczniejszą bronią przeciw grożącemu stosem Inkwizytorowi, wiara i miłość – antidotum na relatywizowanie prawdy. Pocalunek Chrystusa jako jedyna odpowiedź na cyniczne argumenty i groźby starca okaże się ciosem, którego Inkwizytor nie będzie w stanie odeprzeć. Zgarbiony i postarzały, opuści salę w milczeniu, wędrując pomiędzy rzędami krzeseł i unikając wzroku widzów, których uwodził wizją „nowego wspaniałego świata”.

Przypowieść Iwana interpretowano rozmaicie: jako misterium, traktat o istocie zła (Inkwizytor sugeruje, że Kościół przyjął dary szatana, które Chrystus podczas swojego trzykrotnego kuszenia odrzucił), filozoficzny wykład o wolności i godności ludzkiej, wreszcie proroczą wizję państwa totalitarnego. Brook zdaje się skupiać głównie na relacji religia-społeczeństwo i religia-jednostka. Zastanawia się, jak to się dzieje, że z największego dobra rodzi się przemoc i ucisk.

Oddaje hold świętości, ale zarazem konstatuje, że opiewana przez Dostojewskiego miłość, dzięki której można „nie tylko swoje i ale i cudze grzechy odkupić”, mimo że niesie ze sobą prawdę, okazuje się bezsilna, a indywidualny heroizm nie zbawi już świata jak było to możliwe u prapoczątków wielkich religii. Reżyser zadaje pytanie o to, czy współczesny człowiek jest jeszcze zdolny do bezinteresownej wiary w Boga. Czy też, napotkawszy na swojej drodze Chrystusa (lub Krisznę, lub Tierno Bokara), powtórzylibyśmy za Inkwizytorem: „Po cóżeś przyszedł nam przeszkadzać?” oraz „Idź i nie przychodź więcej... Nigdy”.